

Asia Kołakowska

ilustracje: Waldemar Borowski

# Smoczydło



*SMOCZYDŁO*

*Asia Kołakowska*

# **SMOCZYDŁO**

*Ilustracje Waldemar Borowski*

*TEMU, KTÓRY  
JEST MIŁOŚCIĄ  
KAŻDEGO SERCA...*

*Specjalne podziękowania dla  
Wiesi Terleckiej,  
bez pomocy, której, baśń ta nigdy by nie powstała*

# SMOCZYDŁO

*Opowieść o podróży, w którą każdy z nas kiedyś się udaje...  
O poszukiwaniu prawdziwego siebie, o docieraniu do Źródła. Arogancki Zefir zagubiony w lesie, oddzielony od smoczego stada czuje się samotny. Mimo to odrzuca inne zwierzęta, które chcą się z nim zaprzyjaźnić. Bardzo smutny zadaje sobie w końcu pytanie o sens istnienia... We śnie przychodzi do niego Anioł, który prowadzi go na spotkanie ze Źródłem... Smoczek całkowicie przemieniony zaczyna rozumieć, że celem życia jest dzielenie się szczęściem. Zabawna i pouczająca baśń w dwóch częściach: pierwsza dla dzieci od 5 do 110+ lat i druga od 10 do 110+ lat.*

## CZĘŚĆ I

*Drogi Czytelniku!*

*Pierwszą część historii „Smoczydła” dedykujemy całym rodzinom – dzieciom od lat pięciu, nastolatkom i dorosłym. Jest to baśń, która rośnie wraz z naszymi najmłodszymi Czytelnikami. Do poznania części drugiej zapraszamy starszych odbiorców od 10 lat do 110+.*

*Na młodsze dzieci „Smoczydło II” będzie musiało jeszcze poczekać parę lat... Ale za to z jaką radością powitamy was znów w naszej bajce!*

# S M O C Z Y D Ł O

## Część pierwsza

To była burzliwa noc... Potężny wiatr miarowo kołysał niedomkniętymi okiennicami, których skrzypienie skutecznie wybudzało mnie ze snu. Otworzyłam oczy. Pośrodku pokoju, w półmroku spostrzegłam wielki cień..., jakby smoka! Już chciałam krzyknąć, gdy w świetle błyskawicy zobaczyłam jak kładzie na pysku pazur szepcząc: ciii..., ciii... Rzucił na stół coś dziwnego, zwiniętego w rulon i szybko zawrócił w stronę balkonu. Wycząpał na zewnątrz, a za nim ciągnął się jeszcze po podłodze długi ogon. Nagle, jego koniuszek przytrzasnęły drzwi balkonowe uderzone silnym podmuchem. Zjawa zasyczała boleśnie, po chwili odbiła się od posadzki i poszybowała w górę. Podbiegłam do okna i ujrzałam... Na tle srebrnego księżyca malowała się imponująca postać smoka... Wielkie rozłożone skrzydła, wydatny pysk i ogon na końcu bezwładnie zwieszony.

– Mógł go zwichnąć... – pomyślałam z troską – Eee, nic to..., do wesela się zagoi! – zaśmiałam się w duchu.

Smok gwałtownie wzdrygnął się cały, zupełnie jakby mnie słyszał. Powoli, z wysiłkiem podwinął oklapnięty koniuszek, cały prostując się przy tym dumnie.

– Oho! Charakterny! – uśmiechnęłam się.

Nagle smok wtopił się w tarczę księżyca. Zapaliłam światło i podeszłam do stołu. Leżał na nim długi, zrolowany liść palmowy. Zapisany gęszczem dziwacznych znaków, przeplatanych obrazkami. A najdziwniejsze było to..., że je rozumiałam! Na początku był list..., do mnie!

„Witaj w mojej bajce! Wybrałem cię, bo tylko ty umiesz rozczytać te bazgroły. Musisz je ładnie przepisać. Chcę, by dzieci małe i duże poznały moją historię... Twój smok.”

Przez całą noc czytałam te zapiski... Była to niezwykle ciekawa i pouczająca opowieść. A oto, co było tam napisane...

Dawno temu żył, był... stary las. Rosło w nim wiele pokrytych mchem drzew oraz niezliczona ilość krzewów i kwiatów. Było nawet leśne jeziorko, a na samym brzegu lasu duży staw, nad którym zwierzęta tam żyjące spotykały się, by posłuchać wieczornego koncertu żab.

W tym lesie wszyscy przyjaźnili się ze sobą i dlatego lubili spędzać razem czas.

I jak to bywało w dawnych czasach, w starym lesie żył smok. Jeden smok. Jeden, jedyny smok.

Wieść niesie, że smoczek, gdy był malutki, spadł z grzbietu matki wprost na leśną polanę, gdy przysnął w czasie ich lotu. Ponoć całe smocze stado przemierzało wówczas długą drogę



z Antarktydy, gdzie właśnie skończyło się lato, do wiecznie słonecznego Przylądka Smokolandii. Wódz stada, tata smoczka, odkrył tę krainę na tajemniczej starej mapie, którą znalazł w złotej szkatule ukrytej głęboko w lodowej grocie. Wtedy zdecydował o przeniesieniu tam całego zielonego klanu.





Niestety, po drodze zgubił synka Zefira. Od tamtej pory smoczydło mieszkało w lesie. Z początku zwierzęta obawiały się go, lecz wkrótce, ku ich zaskoczeniu i ogromnej uldze, smok okazał się być wegetarianinem.

Chętnie zjadał zarówno banany jak i długie liście bananowca, i to w locie. Pływając za dnia w jeziorze, wcinął rozłożyste kwiaty lotosu, a z brzegów zrywał zielone, falujące łodygi trzciny cukrowej, pochłaniając je wraz z korzeniami. Podwieczorki dosmaczał sobie kokosami, które rozbijał w tańcu przytupując zamasyście wielką nogą.

Zefir był bardzo zabawny, lubił skakać między kniejami i latać nad lasem, zawsze wypatrując innego smoka. Wieczorem siadywał przy stosie wcześniej zebranego drewna, podpalał go swoim ognistym oddechem i tak smacznie spał aż do rana grzany ciepłym ogniskiem.



2016 W. Borewinski

A gdy nastawał świt, od nowa rozpoczął poszukiwania drugiego smoka, który by mu umilił życie swoim smoczym towarzystwem.

Zwierzęta w lesie zrozumiały, że bardzo tęskni za kumplem i postanowiły mu pomóc. Każde chciało go poznać i jeśli by sobie tego życzył, stać się kompanem jego zabaw. Tego dnia Zefir, jak to miał w zwyczaju, suszył się po długiej porannej kąpieli.

– Pamiętaj, myć się trzeba codziennie! – tych słów mamy nie zapomnieć do dziś, wciąż jeszcze dźwięczały mu w uszach. Jego zielona, pokryta łuskami skóra świeciła w promieniach wschodzącego słońca. Nagle, pomiędzy konarami drzew zobaczył radośnie merdający ogonek, a po chwili wesóło szczekając, do jego nóg podbiegł kudłaty psiak. Dotknął go przyjaźnie mokrym noskiem i wpatrując się w niego pełnymi oddania oczami zaśpiewał:

– Mówią: „wierna jak pies”. Taka jestem... zwłaszcza doceniają to kleszcze... Lecz dość żartów, chcę ci służyć... Na twą słodką miłość zasłużyć... (szczeka), ostrzegać cię przed niechcianymi gośćmi... Dam ci miliony powodów do radości! Tylko mnie zaadoptuj miły, a wiernie, jak pies będą ci me oczy, łapki, uszka służyły!

Słyszając to Zefir smętnie zanucił:

– Miłość, miłość i po miłości..., a potem długo smutek gości...

I trochę gburowato dodał:

Nie i nie! Dość tych bredni! Bajki potem! Smoczy ród łączy się ze smokiem! A ty, piesku, biegnij dalej! Bo ma oschłość napełni Cię żalem!

Piesek spuścił głowę, by smok nie zobaczył, jak bardzo jest mu przykro. Jego czarne oczy stały się dziwnie wilgotne i szybko odbiegł.

– Niby taki pokorny i skromny ten psiak, a jednak jest w nim coś z zarozumialca... – pomyślało smoczydło.

– No bo, jak można obiecywać, że będzie się komuś wiernym, gdy trudno jest być wiernym samemu sobie... – uśmiechnął się do siebie z satysfakcją i stwierdził:

– Tak..., świetna myśl smoku, nie mogłeś tego lepiej ująć.

No i te kleszcze...

Aż się cały wzdrygnął i ciarki przeszły przez jego ciało, od czubka głowy po koniuszek ogona. Nie, stanowczo nie brzmiało to zbyt zachęcająco.

Po chwili nad jego głową zakołował piękny, kolorowy ptak, który przedstawił się mu z nieukrywaną dumą:





– Jestem piękna, kolorowa papużka... Wciąż plotę dzieciom z uszka do uszka... Latam i gadam, jak na papugę przystało. By być Twym przyjacielem... to jest za mało?!

Smok przyjrzał się gadatliwej ptaszynie, obwąchał ją z uwagą i odparł:

– Nie, że za mało... Nie o to chodzi. Tylko mi jakoś... siarką nie smrodzisz...

Papuga chytrze mrużąc oczy spytała go:

– Po co te uwagi? Z nawyku? Mój języczek siarką trąci, gdy plotkuję. A sensacji mam bez liku!

Ponieważ w oczach Zefira pojawiło się zniechęcenie, więc go ostrzegła:

– Skoro tak, żegnaj! Lecz nie wybrzydzaj bracie! Bo gdy odeślesz wszystkich, SAMOTNOŚĆ czeka na Cię!

I odfrunęła, a smok zadarł do góry pokryty czerwonym grzebieniem łeb, by obserwować jej lot. Po chwili poczuł, że coś ociera się o jego wielką, zieloną nogę i zerknął w dół. Była to śliczna kotka, lecz miała dość smutną minkę. Przywitała go bardzo uprzejmie i nieoczekiwanie zwierzyła się, odkrywając to, co miała w swym sercu:

– Dzień dobry smoku! Dziś dobry, choć jeszcze wczoraj, gdybyś poznał mą historię, płakałbyś do wieczora!

– Byłam bardzo malutka i grzeczniutka, gdy dorośli dali mnie w prezencie swojej latorośli. Ale zbliżało się lato gorące i wszyscy jechali, by hasać po łące... Nikt nie chciał zostać ze mną w domu, nagle stałam się niepotrzebna nikomu! Pojechali rodzice do lasu i wyrzucili małą kotkę bez hałasu! Bo bogaci byli i po wakacjach nowego, syjamskiego sierściucha kupili! A w lesie lisica miła, jak córkę mnie ugościła. I tak już zostałam z nimi... opuszczać las – nigdy! Ani chwili! Słów już wylałam przed Tobą zbyt wiele! Powiem krótko – zostań moim przyjacielem!

Zefir patrząc na nią z góry, ziewnął przeciągle, najwyraźniej nie przejął się jej historyjką:

– Smutna ta Twoja opowieść, lecz..., o co chodzi?! Odrobina szczerości nikomu nie zaszkodzi. Jestem smokiem, nie kociakiem...

Mimo to kicia nadal go nie odstępowała, wciąż ocierając się o jego szorstką skórę.

Zefir poczuł się znużony, więc ułożył się na grzbiecie do krótkiej drzemki. Dał jej w ten sposób do zrozumienia, z wrodzoną sobie delikatnością, że ich spotkanie skończyło się.



Lecz kotka bezceremonialnie usiadła na jego zawiniętym ogonie i miauknęła

– Ale ja się tak miło łaszę, tulę...

Smok skwitował to krótko:

– W tym problem, mam łuski – nie czuję..., więc Twojej słodyczy nie kupuję... Żegnaj kiciuś!

Koteczka wreszcie zrozumiała. Zamiauczała trochę żałośnie i cichutko odeszła.

Nagle Zefir usłyszał szelest gałęzi, spojrzął w górę i zobaczył piękną tygrysicę.

Przeskakiwała tak zwinnie z jednego drzewa na drugie, że zachwyił się jej akrobatycznym popisem. Po chwili stała już na ziemi, tuż przed nim, cudownie tańcząc i śpiewając:







Jestem wspaniała tygrysica, nie jakaś tam, zwykła kocica...  
Jam zwinna, ruda w czarne pręgi. Me kły, pazury – to potęgi.  
Łatwo cię obronię przed wrogiem. Tylko latać, ziać ogniem nie  
mogę...

Smok odśpiewał jej bez pardonu:

- No to kiszka, to już wolę bazyliuszka! A może tak..., modliszka?!
- Zapytał sam siebie Zefir.



Drapieżnica dumnie odwróciła się na pięcie i pędząc kłusem zniknęła wśród zieleni.

Po chwili znów coś dużego, ciężkiego zeskoczyło z gałęzi. Smok przez chwilę pomyślał, że tygrysyca najwyraźniej nie dała za wygraną, lecz to, co zobaczył przed sobą, na pewno nie było ładne. Stała przed nim szara małpa, skarżąc się:

Ciągle mówią: małpa, małpa. Wciąż mnie obrażają... Niby ludzie, a jak bardzo małpi charakter mają...

Zefir jak zwykle, odparował bez ogródek:

– W lustro spójrz. Pięknem nie grzeszysz...

Brzydula odpowiedziała rezolutnie:

– A Ty swym widokiem cieszysz? Nie oceniaj przyjaciela po wyglądzie. Zajrzyj w jego serce, zajrzyj..., w jego duszę! Ujrzysz miłość, dobro, radość. To jest piękno..o..o..o! Którym kuszę.



Wtem, zza drzew wyszło parę leśnych zwierzątek, które wraz z nią z werwą zaczęły podskakiwać w takt muzyki:



– Soul apeel to nasza broń zwierzęca! Soul apeel to coś, co was podkreca! Wdzięk, szyk, duchowy styl... Nasza broń to soul, nasza broń to soul! Nasza broń to SOUL APEEL!

Niestety, smok bez entuzjazmu oglądający ten show, pokręcił tylko głową i powiedział:

– Oj, małpko pocziwa, idź już!

A gdy ona i jej towarzysze odeszli, skwitował to filozoficznie:

– Przyjaciół ubywa...

Usiadł, by wreszcie zjeść śniadanie, które już wcześniej przygotował. Była to zdrowa sałatka, oczywiście zielona. Liście pokrzywy, mleczu i komosy zalał cytrynowym sokiem, pomieszał je z orzechami, mango i awokado... Pycha! – pomyślał i pociekła mu ślinka. Już wkładał solidną garść ulubionego przysmaku do pyska, aż tu niespodziewanie poczuł, że ktoś go obserwuje. Rozejrzał się czujnie wokół. Po chwili zza pagórka wybiegł wprost na niego duży wilk. Miał filuterne ogniki w oczach i wesoło zagadał:





– Jestem wilk „Zadziorne Oko”. Lubię zwiedzać leśne chaszczę, przygodzie zaglądnąc w paszczę! Radość wielką mam, skacząc, biegając tu i tam! Ale kłusownicy źli na wilka szczerzą kły!

Uczuć ludzkich nie mają, ze strzelbą zwierzęta ścigają! No i cóż dzieci powiecie? Czyż w ludzkich oczach wilka nie znajdziecie? Wystarczy im rozmowy chwilka, by człowiek człowiekowi był za wilka... Smoku, zostań moim przyjacielem! Czy Cię proszę o zbyt wiele?

Dla Zefira także i ta propozycja nie była zbyt interesująca, odpowiedział mu krótko:

– Nie! Nie masz płetw ni latającego ogona! A bez wspólnych zabaw – nasza przyjaźń skona... A propos! Co robisz nocami?

Wilk odparł bez namysłu:

– Wyję!

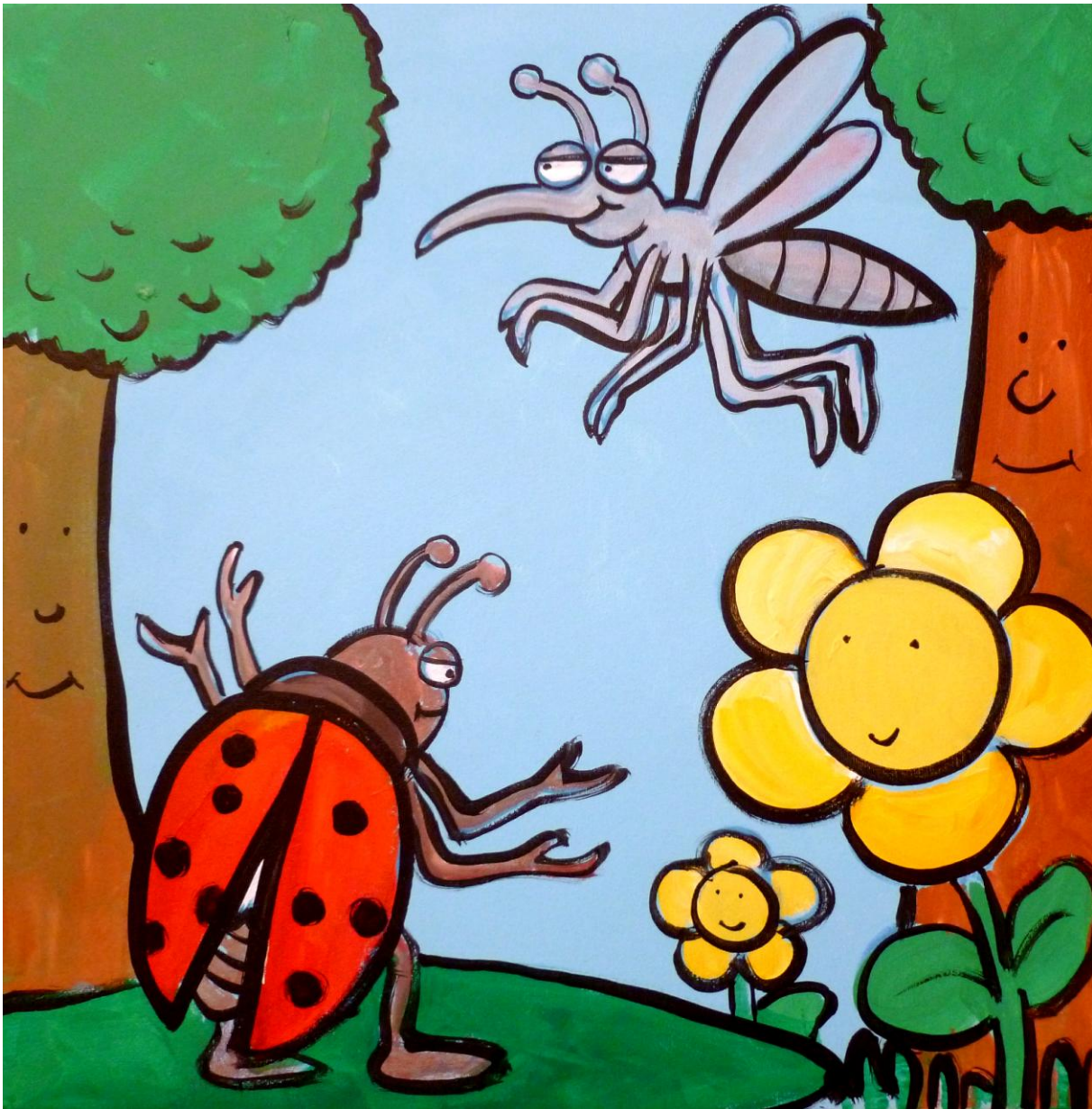
Na to smok wypalił:

– No proszę, sąsiedzi zaraz zaopatrzą się... w kije!

Słyszając to, wilk zląkł się i pobiegł w głąb lasu.

Chwilę później, wokół nosa Zefira uporczywie zaczęło coś latać. Z początku myślał, że to natrętna mucha i już podnosił łapę, by ją przegonić, lecz spostrzegł małe, czerwone skrzydełka biedronki, całe upstrzone czarnymi kropkami. Szeptąca mu cichutko do ucha:





– Jestem sobie biedroneczka, lubię latać do słońeczka, lecz czasem pancrzyk mnie parzy, gdy się w dziurze ozonowej przysmaży. Nie chcę być cała czarna biedronka od tego palącego słońka! Ale Ty, smoku jesteś piękny! Zielony! Niesamowity! Zaproś mnie do swej smocznej elity!

Zefir aż cały zawrzał:

– Ma tupet! – pomyślał zirytowany i śmiejąc się z niej odpart:

– Ty?! Tyś jest za mała! Zmiażdżę cię nogą i nawet... nie zauważę tego niebogo.

Lekko przestraszona biedronka rozpostarła skrzydełka i odfruwając pisnęła:

– No to lecę! Bo już świecę od ognia Twego!

Rozbawiony smok pożegnał ją, jak na siebie wyjątkowo uprzejmie:

– Pa, pa! Do widzenia biedroneczko! A uważaj na słońeczko!

Nagle zachmurzyło się, zrobiło się zupełnie ciemno, a wielkie deszczowe chmury zdawały się wisieć tuż nad smoczą głową. Z dala dochodziły groźnie pomruki piorunów, a niebo nad lasem co chwila przecinały srebrzyste serpentyny błyskawic. Zefir rozpostarł skrzydła i cały się nimi nakrył.

Spod tego ogromnego, zielonego parasola wyglądało z ciekawością tylko jedno zielone oko. Nagle, z najciemniejszej chmury sfrunął do niego czarny kruk, przysiadł pomiędzy czerwonymi muchomorami, smętnie kracząc:







– Kra! Kra! Wszystko czarno widzę, widzę źle i kraczę... W pełni dnia jak ślepiec słońca nie zobaczę... Jeśli chcesz mieć na życie towarzysza smutasa, popatrz na mnie w tym względzie – jam wzór pierwsza klasa...

Smok odpowiedział mu równie poważnym tonem:

– Och, nie! Smutku swojego mam i tak za wiele...

Ptak zachnął się:

– Nie, czasami... uśmiechnę się i ja w niedzielę.

Zefir na to odrzekł:

– Smoki są zawsze otwarte i do zabaw skore...

Kruk z rezygnacją zakończył swą arię:

– No to lecę, bo dla mnie... to jest jakieś chore, kra, kra...

Pofrunął w górę, w sam środek najczarniejszej z chmur. Wtedy spadł gwałtowny, rzęsy deszcz i zalał całą leśną polanę, ale po chwili znów wyszło piękne, ciepłe słońce. W jego promieniach ujrzął niezwykle uroczą, przezroczysto szafirową ważkę, która ze szczęściem przefruwała przed jego oczami, zaglądając w nie zalotnie.

Pewna swego wdzięku śpiewała mu z zapalem:



– Ważka, ważka, ważka, ważka to sprawa ważka! Mam zielone skrzydełka, w talii jestem giętka. Ważka, ważka, ważka, ważka to sprawa ważka! Lubię bzykać do ucha, w sercu zawierucha... Ważka, ważka, ważka, ważka, to sprawa ważka!

Zawrócę Ci w głowie smoku, mam na Cię oko od roku!  
Ważka, ważka, ważka, ważka to nie igraszka!

Zefira, który początkowo podziwiał piękno ważki, teraz rozsierdziła jej pycha. Bo kto na świecie mógł być ważniejszy niż on? Któż, jak nie on powalał swoim wyglądem, doprowadzając do nagłego migotania serc jednym, zniewalającym, zielonym spojrzeniem?

Odpowiedział jej więc z nieukrywaną niechęcią:

– Leć przebrzydły owadzie, lepiej ci będzie w stadzie!

Spuścił swój wielki łeb, by już na nią nie patrzeć i wtedy zobaczył w trawie parę białych długich uszu.

Wielkimi susami zbliżał się do niego zajac i po kilku minutach stał już przed nim na dwóch łapkach. W pyszczku miał marchew z zieloną nacią, którą zamiast kwiatka podarował mu na powitanie, po czym przemówił tymi słowy:





– My sprytne, zwinne zające lubimy skakać po łące. Słyszałem smoku, że szukasz przyjaciela... Ofiaruję ci serce czułe, mą kapustę, marchewkę i samego siebie – gadułę...

Zefir odpowiedział mu z pogardliwą ironią:

– Co to, to nie! Jestem odważnym smokiem, nie lękliwym zającem, co wciąż ucieka po łące...

Szarak nie ukrywał, że poczuł się bardzo urażony:

– Na słowa swe zawsze zważaj i nikogo nie obrażaj! Teraz posłuchaj rady mej – niezwykle ważnej... Okazywać innym szacunek – to jest czyn odważny! Nie zachowuj się jak ktoś wielki, groźny... Widzieć innych wielkimi – czyn to z wszech miar zbożny... Szacun – wraca jak bumerang, gdy znieważysz – twa zniewaga także wraca... Więc nie czekaj i mów tylko dobre słowa – to na koniec..., bo tak kończy się nasza rozmowa.

Zając zniknął w wysokiej trawie tak samo nieoczekiwanie jak się pojawił. Przez chwilę widać było tylko jego spiczaste, białe uszka pojawiające się wśród zieleni to tu, to tam.

Nagle smok usłyszał dźwięki skocznej melodii, ktoś grał ją na gitarze, radośnie podśpiewując. Po chwili dołączył do niego drugi cienki głosik, a między drzewami zobaczył dwa tańczące liski.





Pierwsza na polanę, pląsając w takt muzyki, wbiegła lisica, potem zapatrzonej w nią lis. Zefirowi spodobała się ta para i wesółta melodia, więc zanucił:

– O rudy! Rudy, rudy, rudy lis!

Lisek odpowiedział mu przyjacielsko:

– Ach, witaj!

Więc smok zaczął z nimi tańczyć, nadal śpiewając:

– Miło Was zobaczyć!

Cała ich trójka zawtórowała:

– O rudy, rudy, rudy, rudy lis...

A lisica dodała z uśmiechem:

– Z lisicą...

Smok, który zasapał się szybkim tańcem przystanął, by złapać oddech i chyba po raz pierwszy w życiu powiedział coś naprawdę miłego:

– Śpiewające liski, fajna z was para!

Na to lisek rzekł z entuzjazmem:

– Lubimy śpiewać razem, no i jest gitara!

A jego partnerka poskarżyła się słodko:

– Mówią o kimś: chytry jak lis, a siebie nie znają...  
Rudzielec oburzył się:

– I takie bajki dzieciom rozpowiadają!

Lisica, by rozwiać wszelkie plotki na ich temat, stwierdziła:

– A my lubimy tańczyć w kniejach, bawić się i skakać...

Jej partner zauważył zaś przezornie:

– Lecz bardzo uważamy na kłusowników sidła, by potem nie płakać...

Jego przyjaciółce najwyraźniej nie spodobało się to czarnowidztwo, bo skarciła go:

– Ty jak zawsze musisz krakać...

Lis spoważniał i uroczyście oświadczył:

– Bo cię wielbię moja miła. I nie pozwolę, by ci się jakaś krzywda zdarzyła.

Zadowolona lisica uśmiechnęła się szeroko:

– Tak, w prawdziwym związku dbamy o przyjaciela.

Jej troskliwy towarzysz dodał:

– By nic złego mu się nie stało, czy to świętek, piątek, czy niedziela...

A ona spojrzała na niego zalotnie, mówiąc:

– Za to tak bardzo się lubimy... – i patrząc sobie głęboko w oczy wyznali z miłością – że szczęścia bez siebie nie widzimy!

Smok poczuł się zażenowany. Jak liski mogły nie zachwycić się nim? Przecież to on był tu najważniejszy! On – wielkie zielone objawienie, więc aż ryknął:

– To ja dla was nie istnieję?! Już! Ruszajcie w swoje knieje... Lisek, niby od niechcienia przeciągnął łapą po strunach gitary, odchrząknął, wziął za rękę swą wybrankę i odeszli razem tanecznym krokiem. Zefir ponuro do siebie zagadał:

– I na mnie pora, chcę zebrać chrust do wieczora...

Obleciał wszystkie zagajniki, zbierając połamane gałęzie i wrywając wyschłe krzaki. Złożył je razem, podwinął ogon i mocno go na nich zacisnął. Wzniósł się z tym ładunkiem w górę i pofrunął w stronę polany. Rozglądał się przy tym wokół, gderając sobie pod nosem:

– Na próżno szukam smoczego przyjaciela. W tym lesie nie ma nawet jego cienia!

Gdy wylądował, ułożył z gałęzi wysoki stos i podpalił go jednym dmuchnięciem. Zaczął ścielić sobie do snu, rozkładając na ziemi długi, złoty płaszcz. Zdobyczny płaszcz. Niegdyś, ścieżką pośrodku ich lasu jechał książę Narcyz wraz z orszakiem, a zapuścił się w jego gąszcz w poszukiwaniu księżniczki.







Podjął się tej niebezpiecznej wyprawy, by spełniła się przepowiednia, którą nad jego głową, gdy spał w kołysce, wypowiedziała wróżka. Brzmiała ona tak: Przeznaczoną mu na ślubny kobierzec księżniczkę, zła wiedźma porwie do lasu dla smoka. A on, książę musi ją odnaleźć i oczywiście zabić smoka, który niechybnie będzie ją niewolić.

Akuratnie w tym czasie, gdy Narcyz przemierzał knieje, Zefir, nic o przepowiedni nie wiedząc, frunął nad koronowaną głową. Przyciągnął go z daleka blask złocistej szaty i chciał się temu cudowi przyjrzeć z bliska. Zniżył lot i zahaczył jednym ze swych krogulczych pazurów o brzeg płaszcza, porywając go ze sobą w oka mgnieniu. Książę, który jeszcze zdążył go zobaczyć, był tak przerażony, że natychmiast zawrócił do pałacu i ponoć nie opuszczał go już przezornie przez następne sto lat. Swojemu ludowi zaś powiedział, że stoczył ze smokiem śmiertelny bój i ledwo uszedł z życiem. A co do księżniczki, stwierdził, to jeśli naprawdę go kocha, zapewne odnajdzie go sama. I jak na prawdziwego mężczyznę przystało, czekał na nią nawet dni parę... Potem poślubił piękną damę dworu, która w niespełna pół roku później powiła mu syna, następcę tronu. Zwykle w bajkach wszystko wydarza się zbyt szybko... Ich potomek, gdy wyrósł w niczym nie był podobny do Narcyza, za to szlachetnością oblicza i charakteru, do złudzenia przypominał jego przyjaciela, pięknego mauretańskiego księcia. Dworzanie potajemnie szeptali między sobą, że dla kraju, może to i lepiej.

Od tamtej pory Zefir miał iście królewskie postanie. Właśnie układał się do snu, gdy na polanę wparowała wróżka. Od lat bez mała trzydziestu wróżka wciąż krążyła po lesie z księżniczką Aldoną, bo właśnie na nią spadł obowiązek wyswatania jej. Wprawdzie wiedźma rzeczywiście porwała księżniczkę, lecz bała się smoka tak bardzo, że pozostawiła ją pośrodku lasu. Na pewne pożarcie przez smoka. Księżę zaś ze strachu przed nim uciekł w popłochu, więc cała ich bajka potoczyła się zupełnie innym torem, wręcz kompletnie się wykoleiła. Może dlatego teraz wróżka widząc gada, nie wycofała się, nie zawahała. Nie miała nic do stracenia, nie było już czasu. Jej magiczny krem, z etykietką „młoda na zawsze”, którym codziennie odświeżała urodę Aldony, kończył się. Na twarzy księżniczki zaczęły pojawiać się pierwsze zmarszczki, mimo że krem miał zachować swą moc do dnia zaślubin, a nawet o jeden dzień dłużej. A przecież księżniczka musi być panną młodą!

– Pal sześć przepowiednię! – pomyślała wróżka – Król i tak ma już żonę. Smok musi poślubić Aldonę! – postanowiła. – Jeśli jest jakimś zaklętym w tę paskudę księciem, wystarczy go odczarować lub odwrotnie, zaczarować w księcia, jeśli to tylko zwykły smok! Teraz naprawdę było jej już wszystko jedno. Zaśpiewała mu więc olśniewającym, anielskim głosem:

– Jam wróżka, królowa serc nieugięta... Właściwie, to prawie już, prawie święta!

Wycelowwała swoją różdżką jak strzałą prosto w smoka i zaczęła nią zataczać coraz to większe kręgi.

– Wielki smoku – zmień się w księcia! Bo księżniczka jest do wzięcia!

– Będzie się działo! – pomyślało smoczydło.

– Czarum, marum... Czarum, marum... – wróżka coraz głośniej i coraz szybciej powtarzała zaklęcie.

Ale o dziwo, nic się zadziać nie chciało, więc prawie krzyknęła:

– Halo! Smoku! Co jest?! Nie?! Wielki show dla ciebie robię!

Zefir, uśmiechając się ironicznie pod nozdrzami, odparł jej krótko i dosadnie:

– Nic tu po tobie!

Wróżka w środku aż zakipiła ze złości, ale jak na damę przystało odpowiedziała mu uprzejmie, choć dobitnie:

– Z zielonym ci do twarzy..., lecz księżniczka, myślę, już o tobie nie będzie marzyć!



I wróżka, jak to wróżka, podniosła swoją różdżkę do nieba i pofrunęła ponad lasem. Jeszcze przez chwilę widać było jej welon powiewający nad konarami drzew i zniknęła.

W tym czasie, za rozłożystym dębem, obserwując ich spotkanie, czała się Aldona.

– On pewnie myślał, że wróżka chciała go zdobyć dla siebie... Nic dziwnego, że dostała „kosza”! – zachichotała trochę złośliwie. Ogarnęła czułym spojrzeniem wielkie zielone stworzenie, które stało pośrodku łąki.

– Będzie mój! Ten i żaden inny! – stwierdziła.

Z oddali smok mógł wyglądać jak ktoś, kto okrył się ogromną, zieloną peleryną. „Wielki, potężny” – pomyślała i poczuła radosny dreszczyk emocji. A jego twarz... ach... po chwili zatrwożona przyjrzała się raz jeszcze:

– Zaraz..., no nie..., tylko nie to... Och! To..., to... pysk! Milcz! – strofowała samą siebie – Pamiętasz, co babcia ci mówiła? Że miłość jest ślepa! Przecież tyle lat go szukałaś, a teraz wybrzydzasz! Zawsze, wciąż tylko krytykujesz – pouczała samą siebie – W końcu zostaniesz starą panną!

Zaprawdę święte to były słowa, choć mocno spóźnione...

– Ja śliczna i on... ładny – odważnie zachęcała siebie – Zresztą, mężczyzna nie musi być piękny! Ważne, że jest inteligentny, a na pewno bardzo bogaty, bo zapewne jest księciem!

I ruszyła na podbój smoka lekkim, uwodzicielskim krokiem top –modelki. Jednym słowem, najładniej jak tylko umiała, ale na pewno zniewalająco wtoczyła się na polanę. Gdy zbliżała się do swego wybranka nagle, choć zdarzało się to jej niezwykle rzadko, przez głowę przemknęła jej myśl:

– To jednak smok! I co z tego? – szybko sobie odpowiedziała.  
– Dla prawdziwej miłości zmieni się w księcia nawet bez różdżki!

Ach, te płocze marzenia i nadzieje każdej zakochanej dziewczyny! Poprawiła dredy doczepione do kęпки włosów,



które jej pozostały, gdyż resztę ich straciła przedzierając się latami przez leśne chaszczce.

Zefir tylko po koronie domyślił się, że to królewska córka. Zagadał do niej zrezygnowany. W końcu pragnął spotkać tylko smoka, a tu pech, już gorzej być nie mogło – księżniczka:

– O, królewna! W lesie! A ty z jakiej bajki się urwałaś?

Na to Aldona, jak nastolatka, zaśpiewała mu mocnym głośnym rockiem:

– Hello smoku! Dziecię –kwiecie... i w koronie, chętnie usłyszysz jak mówisz o niej...

I pokazując na siebie różowym paluszkiem zapięła:

– Jak o... swojej żonie!

– Tylko proszę, zrzuć zaklęcie, płetwy, skrzydła – całe to... zielone zadęcie.

Smok zzieleniał do reszty:

– Nie dasz wiary... Nie masz miary... I od razu, jakie zamiary?!

Żalowi i rozczarowaniu księżniczki zdawało się nie być końca.

– Toś ty smok prawdziwy... z rodu smoczy! Dziś już nic mnie nie zaskoczy! Idę dalej szukać księcia!

Nagle, zza drzew wybiegły poukrywane za nimi zwierzaki, które dotąd z ciekawością podglądały ich spotkanie.

Teraz, pocieszając ją i tańcząc wokół śpiewały chórem:  
– Idzie dalej szukać księcia!

Aldona dokończyła dumnie:

– Wszak księżniczką jam..., do wzięcia!

Zwierzątka zawtórowały:

– Wszak księżniczka to..., do wzięcia!

O dziwo smok, spojrział teraz na nią, jakby trochę życzliwiej. Aldona nigdy, w najśmielszych snach, nie domyśliłaby się czemu to zawdzięcza. W jego zielonych oczach wyglądała jak słodki, okrągły pączuś, a on bardzo lubił łąkocie. Tymczasem ona, gwiazda, poprawiła w pulchniutkim pasie zbyt obcisty żakiet i poszła przed siebie dostojnym krokiem w głąb lasu. A za nią orszak fikających małp, miauczących kotów, kraczących kruków, tańczących lisów, merdających ogonami psów i wyjących wilków... Gdy już wszyscy zniknęli, smok poczuł się wyczerpany. To spotkanie dopełniło czary jego smutku. Pomyślał, że nie uśnie, dopóki nie spotka się z kimś fajnym i dla niego najważniejszym. Musi wreszcie, choć przez chwilę, pobyc w jedynym dobrym towarzystwie, to znaczy – smoczym.

Pofrunął więc i po chwili wylądował koło jeziora. Stanął nad nim i zobaczył swoje lustrzane odbicie.

Widział nawet najdrobniejsze szczegóły tego wspaniałego obrazu, wręcz arcydzieła, jakby namalowanego ręką

doskonałego artysty. Tak, wreszcie go ujrzał, tafla wody nie mogła kłamać.

– Oto smok... – powiedział i roześmiał się ze szczęścia.

I nagle wszystko stało się jasne, proste, takie jak być powinno. „Tak, to właśnie ciebie szukałem przez całe życie... I wreszcie znalazłem!” Pojawiła się łza wzruszenia, zobaczył to piękno wcielone... Wielki, zielony łeb ozdobiony czerwonym grzebieniem ciągnącym się aż po koniuszek ogona. Tajemnicze, olbrzymie oczy o wyrazie tak głębokim, że nawet to leśne jeziorko, w porównaniu z nimi, wydawało się być trywialnie płytkie. Uśmiechnął się z satysfakcją i życzliwością, z jaką zwykł to robić w wyśmienitym towarzystwie. „Tak, to jest prawdziwy smok...” Huknął zębami i wypuścił wielką falę ognia. Całe jeziorko zaparowało, a jego odbicie nagle zniknęło! Zefir szybko schłodził taflę wody, machając szeroko rozpostartymi skrzydłami. Po chwili znów mógł napawać się tym unikalnym widokiem i poczuł się spełniony.

– Właściwie, to wszyscy szukają samych siebie, ale rzadko mogą się ze sobą spotkać... A nawet, gdy są już ze sobą sam na sam, myślą o tym co wydarzyło się wczoraj lub martwią się o jutro... Żałują i dumają, że mogli zrobić coś inaczej, a wtedy wszystko potoczyłoby się lepiej i w końcu nawet nie zauważają, jak ucieka im cały dzień... – filozofował smok i podsumował głośno:

– Jesteś inteligentny!

– Inteligentny..., inteligent.... – wtórowało echo.

Zefir uśmiechnął się wdzięcznie do swego towarzysza w wodzie:

– Dziękuję!

– Dziękuję..., kuję..., – usłyszał, a ponieważ kolega naprzeciwno odwzajemnił uśmiech, więc zaczął z nim rozmawiać, jak ze starym znajomym...

– Cześć! Jak się masz? – zapytał go i filuternie puścił oczko.

– Jak się masz... – powtórzyło echo i kumpel też do niego mrugnął.

– Jesteś pięknym smokiem! – dalej ciągnął Zefir.

– Piękny..., smok... – usłyszał w odpowiedzi.

Te słodkie słowa roztopiły jego serce, był zachwycony. Spojrzał przenikliwie w oczy smoka naprzeciwno. Był to przyjaciel doskonały. Myślał i czuł to, co on, rozumiał go w sekundę i akceptował bez zastrzeżeń. Zefir poczuł, że musi mu to powiedzieć:

– Jesteś genialny!

– Genialny... – chwaliło go echo, a on w swej bezgranicznej skromności przyjął z pokorą to słowo prawdy.

Pomyślał:



– Mój towarzysz rozumie mnie może nawet lepiej niż ja sam siebie... – i zawołał:

– Jesteś cudowny!

– Cudowny... Cudowny... – zawtórował wodny sobowtór.

Zielone, smocze serce stało się przez chwilę aż czerwone z miłości do druha, zapragnął go natychmiast przytulić i ucałować. Runął w dół z rozpostartymi ramionami prosto w objęcia smoka z jeziora. Niestety, tafla wody pękła na miliony drobnych kropli, a uroczy wizerunek zniknął. Gdy wynurzył się na powierzchnię, coś siedziało na jego nosie, było bardzo małe, bardzo zielone i radośnie rechotało.

Zefir z nutką nadziei spytał przybysza:

– Ktoś ty?! Wyglądasz jak smok, mały, niedojrzały...

Śmieszne stworzenie odparło:



– Jam żabka, zielona, młoda, rehotliwa – taka ma uroda...  
Pływam i skaczę. A chowam się, gdy smoka zobaczę...

Lecz teraz się nie boję! Smoku miły... Czyżby wróżka  
i księżniczka cię zmieniły?

Zefir zirytował się na gagatka:

– O, nie! Rymująco – rechocząca żaba! Tego już za wiele!

Lecz ona nie zrażając się tym, ciągnęła dalej wesoło:

– Czemu?! Zostań moim przyjacielem... Zapraszam cię na koncert! Przy kościele, nad stawem...

Dla smoka zaproszenie to było mocno ryzykowne.

– Nie, wybacz nie przyjdę... Boże drogi! Wezmą mnie za diabła przez ten ogień srogi!

Żabka zrezygnowana dała mu na koniec radę:

– Skoro tak, to żegnaj! Lecz pamiętaj, przynajmniej jednego kumpla sobie zjednaj!

Zeskoczyła z jego nosa w sam środek jeziora i popłynęła ku brzegowi. Po dłuższej chwili wdrapała się na gruby liść lotosu, rozkładając się na nim wygodnie. Założyła pod głowę łapki, zmrużyła oczy i patrząc na zachód słońca rozmarzyła się. Zefir również zaczął podziwiał piękno nieba i płynące po nim chmury prześwietlone promieniami słońca. Tworzyły one wręcz bajeczną paletę barw – od intensywnego fioletu, poprzez różne odcienie błękitu i czerwieni, aż po fosforyzującą pomarańcz. Pomiedzy nimi błyszcząły złote i srebrne szlaczki pozostawione przez chowające się na noc słońeczko. Dalej, na horyzoncie, niebo przechodziło w głęboki granat późnego wieczoru. Smok rozkoszując się tym widokiem, wyszedł na brzeg i wciągnął głęboko wilgotne powietrze przepojone wonią wodorostów,

lasu i kwiatów. Kochał przyrodę, czuł się jej częścią. No cóż, była ona przecież zielona...

Wtem, wokół jego oczu zawirowały wielobarwne skrzydła motyla, a były one pokryte tak wyszukaną mozaiką kolorów, że Zefir znów się zachwycił.

Motylek kończył swój niezapomniany, jednodniowy lot życia. Zaśpiewał mu pieśń wielkiej radości – na przywitanie i pożegnanie zarazem, bo dany mu czas życia właśnie upływał:





– Jestem piękny, tęczy motylek. Żyję cudnie, choć tylko przez chwilę... Bardzo długo w kokonie dojrzewam, gdy wyfrunę, dusza ma śpiewa! I latam, latam dzień jeden długi, potem chwilka... i nie ma motylka! I do widzenia!

Odfruwam hen wysoko... Już bez skrzydlatego odzienia... Tak samo życie moje, zwierząt czy człowieka, zawsze trwa krótko, zbyt szybko ucieka... Wciąż go nam za mało... I wciąż by się żyć i żyć długo chciało... I tutaj zagram nutką nieśmiertelności... Tak, wierzę w nią, bo wiara w Boga w moim małym serduszkum gości... I kiedyś Pan nas zabierze na łąki kolorowe, potoki mlekiem i miodem płynące... Marząc tak, tracę głowę! Powiedz, czy chcesz się pławić rozkosznie w tej wierze?

Zefir zasepił się i odparł z nutką żalu:

Nie, myślę, że na tę łąkę... Pan smoków nie bierze...

Motyl zatrzepotał skrzydłami, odleciał za powalone drzewo i nagle zamarł. Po chwili smok ujrzał go, jak szybko niczym strzała frunie pionowo w górę, nagle odmieniony. Był teraz srebrzysty i zostawiał za sobą świetlistą smugę. Zefir nie był pewien, czy mu się to nie przywidziało. Spojrzał ponownie w dół i znów zobaczył na trawie znieruchomiłe kolorowe skrzydełka.

– Dziwne... – mruknął i wzbił się w górę, lecąc w stronę swego legowiska.

Gdy wrócił na polanę i zaczął układać się do snu, nagle w jego głowie pojawiła się niepokojąca myśl:

– Czy ja sobie tego wszystkiego przypadkiem nie wyobrażam? Przecież to zwykłe jezioro, w którym widzę własne odbicie.

Rozejrzał się wokół. Oprócz niego nie było tu nikogo i poczuł się bardzo osamotniony. Ponure, długie cienie kładły się na całą polanę, a na czarnym niebie świecił słabo już tylko cienki jak rogalik księżyc. Powiało chłodnym, jesiennym powietrzem i parę mokrych liści spadło mu prosto na nos, a w sam środek czoła uderzył go strącony przez wiatr żołądź.

Zefir nagle zrozumiał, że zostanie zupełnie sam do końca swoich leśnych dni życia i poczuł się nieszczęśliwy.

– Czy ktoś w ogóle wie o moim istnieniu? – pomyślał. – Czy ktoś słyszy głos mojego samotnego smoczego serca? Czy jeszcze kiedyś znajdę na Ziemi prawdziwych przyjaciół? Czy też odejdę samotnie..., piękny, mądry i niezrozumiany przez innych? Dręczące myśli jakby ustawiły się w kolejce, natrętnie wołając jedna przez drugą, żądne odpowiedzi.

– Czy istnieje jakiś nadrzędny gatunek nad smokami? No bo przecież nie ludzie... Czy jest gdzieś... tam wysoko... jakiś stwórca... Ktoś, kto mnie kocha, zna i rozumie? Ktoś... – zawahał się przez chwilę, trudno mu to przechodziło przez zaciśniętą gardziel – ktoś..., no..., jakiś..., smoczy Bóg, czy ktoś w tym rodzaju?

Jego rozdarte serce cicho zapłakało, zapytał siebie:

– Właściwie, co ja tutaj robię?! Smutno, gorzko – jak w chorobie!

Nagle, iskierki nadziei pojawiły się w jego oczach:

– Może wróżka mała prawdę mi powiedziała... Może czeka na mnie pałac, a ja klecę sobie szałas!

Smok rozejrzał się bacznie i nagle spostrzegł... Ciebie Czytelniku! Wykrzyknął:

– To Ty jednak istniejesz! Po chwili zobaczył też wszystkie inne dzieci, które do tej pory z uwagą śledziły jego losy i z entuzjazmem zawołał:

– Witajcie w mojej bajce! Cieszę się, bo lubię was strasznie, a wy mnie?! No proszę, powiedzcie głośno: TAK!!! Tylko szczerze!

Z radością podskoczył do góry:

– Mam pomysł! I spróbuję! A wy pomóżcie dzieci... Zagrajmy w „Tak to leci...” Proszę, wymówmy chórem tę magiczną formułę...

(Drogi Czytelniku, pomóż, powtórzmy to razem za smokiem, niechaj WIELKA MOC będzie z nim!).

Zefir przykrył się całą złotą szatą i mówił dalej:

– Jeszcze chwilka... zakręcę się na pięcie...

– Czarum marum!

(Proszę, zawołajmy wspólnie „Czarum marum, czarum marum”).



Smok potężnym głosem wypowiedział zaklęcie:

– Jestem księciem!

(A teraz my, ale jeszcze głośniej „Smok jest księciem! Smok jest księciem!”).

Zefir obrócił się dziewięć razy wokół siebie i zaczął bardzo powoli zdejmować królewski płaszcz. Spojrzał w dół, niestety... znów widział wielki jak balon zielony brzuch, skrzydła, łapy i wyszeptał wśród łez:

– Nie, nie działa to zaklęcie!

Już chciał skapitulować, gdy nagle przywarł mordką do szybki komputera, na którym właśnie przepisywałam jego historię (po tej drugiej stronie oczywiście) i zobaczył mnie.

– Halo! Idę do ciebie! – zakomunikował krótko.

Jego stopa zaczęła powoli wynurzać się ze środka, opuszczając się na zewnątrz ekranu.

– Nie! Tylko nie to! – pomyślałam – Jest zbyt duży, rozerwie go!

– Prrr..., prrr..., a sio! Smoku..., gdzie mi tu?!

– Pozwól! – piszczał hipnotyzując mnie wzrokiem – Proszę!

Skomlał – Potem wrócę z powrotem...

– Nie! – ucięłam kategorycznie – Każda bajka ma swój początek i koniec, a ty jesteś „napisany...”, gdzieś do połowy”!

Łzy spływały po jego zielonym pyszczku, zamazując obraz.

– Sorry! – dodałam – Taki jest wieczny porządek, jest świat realny i baśniowy. Bądź tam, gdzie zostałeś „napisany”.

Zdecydowanym ruchem wepchnęłam z powrotem zielone pazury, pocieszając go prawie czule.

– Grzeczny smoczek..., pa, pa – pożegnałam go z satysfakcją.

– Mamo! – zawołał żałośnie.

Ścisnęło mi się gardło i kilka kropli łez spadło na biurko. Przyjrzałam się im uważnie i do tej pory nie wiem, nie potrafię tego zrozumieć..., właściwie dlaczego... Dlaczego te łzy były zielone?!

A on zaczął płakać, spłakał się tak bardzo, że aż usnął. We śnie przyszedł do niego anioł i słodko przemówił:

– Nie płacz smoczku!



Zefir, który leżąc nie widział, kto do niego mówi, odpowiedział dumnie i hardo:

– Nie płaczę przecie, a ty nie skrzecz!

Anioł roześmiał się i zamachał skrzydłami, wówczas smok podniósł się i go zobaczył. Poczuł się zdezorientowany, gdy go ujrzął, lecz ten z uśmiechem powtórzył za nim:

– Nie skrzeczę! Z postaniem lecę!

Fakt, miał na ręce przerzucony kocyk, który rozłożył na łące, usiadł tuż obok niego i zanucił:

– Wyluzuj smoku, przecież brak ci już siarki, jadu. Dobry jesteś, nie dawaj czadu!

–Z postaniem lecę, by nieść ci dobrą nowinkę. Tylko zrelaksuj się, zatrzymaj, pomyśl przez chwilę...

Widzisz smoczku, wciąż szukamy istot doskonałych, a świat jest mały! Weź życie w swoje ręce i nie żyj już dłużej w udręce! Zmień siebie na lepszego... Nie namawiaj innych do tego, by polubili cię tak... niesfornego. Nie patrz na wady i słabości. Od tego nie przybędzie ci gości... Chcę cię namówić do kradzieży...

Zefir był zszokowany, jak to brzmiało w jego ustach! Spojrzał podejrzliwie, czy aby na pewno był to licencjonowany anioł? Choć przecież miał należny śnieżnobiały strój, obowiązkową



aureolę i odlotowe skrzydła... Niebiański opiekun jakby czytał w jego myślach, bo dodał:

– Nie lękaj się, bo za nią... nikt do więzienia nie pobieży! Kradnij innym zalety charakteru. Tak się wzbogaciło wielu! Zbieraj zapach pięknych cnót, a przykłaśnie ci sam Bóg! A jak będziesz już w nie bogaty, rozdawaj je jak ja, z chaty do chaty! Zaintrygowany Zefir spytał:

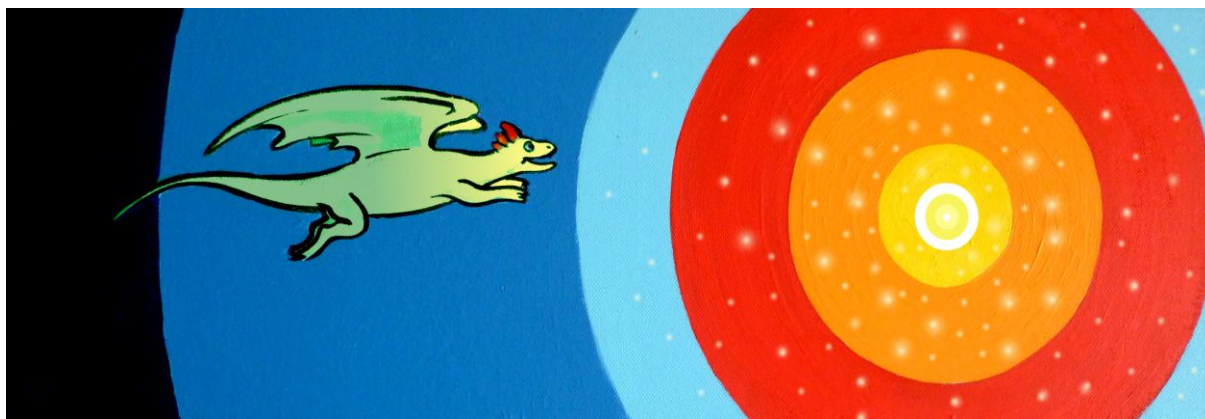
– Jak to zrobić? Tobie łatwo, tyś aniołem...

Ten zamyślił się, uśmiechnął i z radością rzekł:

– Więc zgadzasz się?! – i tajemniczo dodał – OK, zrobmy to pospołem!

Wziął jego łapę i poszli razem na rajską łąkę, gdzie spotkał Adamusssa, prapraojca smoczego rodu. Ten wielki smok zaprowadził go na kraniec świata, tam czekało na niego Złote Słoneczne Źródło.

Gdy Zefir je ujrzał, był tak szczęśliwy, że nie zważając na nic, pofrunął w sam środek tego Słońca.



Cały skąpał się w Jego cudownych promieniach miłości i poczuł, że urodził się na nowo. Powrócił na polanę zupełnie odmieniony. Od tej pory kochał i szanował wszystkie leśne zwierzątka, one zaś uwielbiały się z nim bawić i każde chciało polatać na jego grzbiecie w obłokach. A serce Zefira śpiewało pieśń dla was – przyjaciół jego baśniowego smoczego życia:

„Światło szczęścia zmienia nas w złoto... Byłem zwykłym smokiem, niecnotą. Miłość Źródła wszystko odmienia. Czas pożegnać się, więc do widzenia”.

**KONIEC CZĘŚCI I**

# CZĘŚĆ II

W pierwszej części poznaliśmy Zefira, aroganckiego smoka, który nie chciał zaprzyjaźnić się z żadnym leśnym zwierzątkiem i pragnął tylko smoczego towarzystwa... Nie umiał kochać ani szanować innych, bo w rzeczywistości nie lubił samego siebie. Po spotkaniu ze Złotym Słonecznym Źródłem zmienił się całkowicie... Co naprawdę wydarzyło się na rajskiej polanie? Jak to się stało, że smoczydło zmieniło się w sympatycznego, mądrego smoczka? Jeśli chcesz poznać tę tajemnicę, zapraszamy Cię do przeczytania drugiej części tej historii.

# S M O C Z Y D Ł O

## Część II

Anioł wziął jego łapę i poprowadził smoka. Tą łąką w niebie szło się prawie pionowo w górę, ale stopy o dziwo, same magnetycznie przylegały do wąskiej ścieżki. A była ona ze światła, tak samo zresztą jak i anioł, lecz smok wcale się nie bał, w końcu był w towarzystwie anioła stróża. Zresztą w śnie tym cały otaczający go krajobraz był świetlisty i wydawało się to być tu naturalne. Polna droga, kwiaty na jej poboczu, nawet on sam, Zefir, był jakby przeźroczysty. Wszędzie widział tę srebrzystą poświatę, a wokół panowała głęboka, pełna znaczenia cisza... Jakby były w niej zanurzone odpowiedzi na każde pytanie... nawet te smocze... Wszystko było tu zupełnie nierealne, a zarazem najprawdziwsze. Czas się zatrzymał, jakby zamarł w tej ciszy... Zapachniało wiecznością...

Na ziemi, gdy smok szedł, zawsze słyszał odgłos kroków swych ciężkich nóg. Tu nie było słychać nic a nic. Za to w jego głowie zaczęły rozbrzmiewać nutki niezwykle pięknej melodii... Zdawało mu się, że skądś ją zna... Początkowo tony były ledwo słyszalne, ale po chwili stały się tak mocne, że wypełniły całe jego wnętrze. Potem pojawiły się czyste jak dzwoneczki, krystaliczne głosy chóru aniołów. Tej czarownej pieśni towarzyszyła muzyka szelestu ich skrzydeł.



Zefir szedł za swym przewodnikiem jak zahipnotyzowany. Nie dziwiło go wcale, że ten swoimi gołymi stopami nie dotykał ścieżki, tylko przesuwał się ponad nią. Wydawało mu się, że droga ta nie ma końca, ale nie czuł ani zmęczenia, ani upływu czasu, a jego głowę w środku wciąż pieściły te niebiańskie dźwięki. W pewnym momencie ścieżka skręcała w prawo i polana znów stała się płaska. Anioł zatrzymał się, spojrzał z czułą troską w jego oczy i wyszeptał, nie otwierając ust:

– Teraz odpocznij... – i zniknął.

Smok położył się więc na kobiercu kwiatów i było mu rozkosznie... Nagle poczuł się tak, jakby był w kinie..., jak w filmie zobaczył obrazy ze swojego życia. Przesuwały się w zawrotnym tempie, kręcąc się w koło i wciąż powracając jak na karuzeli. Zobaczył siebie, gdy był małym smoczkiem w objęciach skrzydeł mamy. Potem widział tę nieszczęsną scenę, gdy podczas lotu spadł z jej grzbietu i jak musiał sam zacząć sobie radzić w lesie. Jak dorastał samotny, szukając jakiegoś towarzysza... i wtedy przypomniały mu się wszystkie zwierzęta, które chciały się z nim zaprzyjaźnić. Zrozumiał, jak bardzo był dla nich niemiły, arogancki i zrobiło mu się strasznie głupio... W końcu anioł to nie lada persona, a przecież traktował go z taką akceptacją i szacunkiem.

Wtem, blisko swoich uszu, mimo że w pobliżu nikogo nie było, usłyszał dziwnie znajomy głos. Jednocześnie miał wrażenie, że płynie on z bardzo daleka...

– Zawołałem cię, bo dotarł do mnie płacz twojego serca...

Zefira zelektryzowały te słowa, czuł, że zawsze chciał je usłyszeć i pomyślał:

– Kim jest ten, kto wysłuchał mojej skargi na polanie? Przecież nie wymówiłem jej głośno? Kim jest ten, kto mnie tu zawołał?

W czasie gdy tak dumał, na horyzoncie pojawiła się olbrzymia postać, zdawała się przesłaniać sobą wszystko, a jej głowa sięgała chmur. Był to wielki Złoty Smok. Biły od niego tak potężne promienie światła, że musiał przestonąć oczy skrzydłami. Złoty olbrzym szedł w jego stronę. Tak samo jak anioł nie dotykał stopami łąki, ale przesuwał się lekko ponad nią, a każdy jego krok, gest, poruszenie skrzydeł czarowały boskością.

– Adamusss... – wyszeptał smok.

Jego serce rozpoznało go od razu. Ileż to razy słyszał o nim w dzieciństwie podczas rodzinnych, popołudniowych spotkań przy herbatce. Starszyzna zwykła wówczas snuć legendy o starożytnej historii smoczego rodu. Adamusss... Ponoć sam Noe ocalił go, wybrał i umieścił na swej Arce, aby to właśnie on po potopie dał początek ich rodowi. Zefir wstał i bezwiednie

ruszył w jego kierunku. Adamusss... pierwszy smok, niedościgniony pierwowzór...

Pomyślał o sobie i zawstydził się sromotnie, poczuł się tak mały jak ziarenko gorczycy. Patrząc na niego, czuł całą swą niedoskonałość, jak w zwierciadle widział swój egoizm i gburowatość. Uświadomił sobie, jak bezmyślnie ranił tych, którzy próbowali się do niego zbliżyć.

– Okropne ze mnie smoczydło! – pomyślał.

I szedł dalej w stronę olbrzyma ze zwieszonymi skrzydłami, a jego kroki, choć w śnie tym cały był przecież ze światła, stawały się coraz cięższe... Nogi były jak z ołowiu, głowa ciążyła tak, iż zdawało mu się, że nie jest w stanie jej dłużej utrzymać na szyi i za chwilę spadnie w dół... A łąka załamała się, rozstąpiła pod nim i runie w jakąś kosmiczną przepaść. Męczył się pokonywaniem tej drogi, a nie była to różnica odległości między nimi, lecz wielkości ich ducha.

Kroczył więc tak mały, słaby, zły na siebie..., obwiniając się na każdym kroku, z tym dojmującym uczuciem wstydu w obliczu doskonałości. Nagle zobaczył, że olbrzym naprzeciwko zatrzepotał skrzydłami na powitanie. Tak zwykły robić smoki na znak, że zbliża się przyjaciel. I wysłał ze swego wnętrza w jego stronę potężną falę zielonego światła. Ta fosforyzująca złotem zieleń zalała całą polanę, a gdy dotarła do Zefira, przeniknęła go błogością i szczęściem.

Podniósł więc godnie łeb, spojrzął przed siebie i zrozumiał, że Adamuss czeka na niego z miłością.



Poczuł się jak dawno zagubione i właśnie odnalezione smocze dziecko. Zaczął biec do niego jak do swojego ojca...



A im bardziej się zbliżał, tym promienie płynące od Złotego Smoka stawały się intensywniejsze. Wchłaniał je całym sobą i rósł. W miarę, jak przestrzeń między nimi się zmniejszała, on sam stawał się coraz większy. Smok z naprzeciwka rozpostarł swoje ogromne skrzydła, które przesłoniły wszystko, co było za nim.

– Właściwie, co tam jest? – pomyślało smoczydło — Tam... Tam jest koniec wszystkiego... – przeczuwał.

Atmosfera wokół Adamusssa była niezwykle czysta i cicha, boska. A w niej on, Zefir, poczuł się nagle najważniejszy. Szedł z dumnie podniesioną głową i uniesionymi skrzydłami. Czuł się tak, jakby został zaproszony na audiencję do króla. Nie króla puszczy czy lasu, ale króla całego świata zwierząt. Jednocześnie szedł na spotkanie ojca, za którym tak bardzo, nieświadomie tęsknił.

Złoty Smok patrzył na niego tak, jakby znali się całą wieczność. Smok pojął, że Adamusss istniał od zawsze, że wie wszystko, zna przeszłość i przyszłość – jego i świata. Miał w sobie wielkość, której Zefir nie rozumiał, a która wzbudzała natychmiastowy szacunek. Gdy był już blisko, zobaczył, że sam urósł tak bardzo, że sięga mu aż do piersi. Przytulił się więc do niego bez słów i poczuł bicie jego wielkiego, pięknego serca. Wtedy zrozumiał wszystko.



– Tak... – powiedział Adamusss, jakby oczywiste było to, co miało się zaraz wydarzyć.

– Tak, ojczy? – spytało smoczydło.

– Tak, za chwilę Go zobaczysz... – odpowiedział mu i uśmiechnął się – Zobaczysz go... On chce ciebie ujrzeć...

Smoczek tak się wzruszył, że wszystkie łuski na jego ciele uniosły się lekko. Ludzie zwykli nazywać to „gęsią skórka”, ale w zielonym klanie utarło się powiedzenie „węzowa skórka”. Nie umiał ukryć łez wzruszenia, więc ojciec otarł je, potem wziął go za łapę i poszli razem w stronę krańca świata.

Adamusss nic nie mówił, ale Zefir wiedział, że chce mu pokazać Jego. Zatrzymali się na krawędzi łąki, była to granica między dwoma światami. Smok nie mógł dostrzec, co jest tam, w dole, lecz bił stamtąd potężny słup światła. Czuło się, że wszystko tu jest niezmiennie i wieczne, że to kraina Źródła Życia. Jego towarzysz posadził go wysoko na swych ramionach, by mógł zobaczyć więcej. Zefir wychylił się do przodu i ujrzął..., cudowne Słoneczne Źródło wynurzające się z horyzontu Wszechświata. Po chwili Złoty Smok postawił go z powrotem na łące mówiąc:

– Sorry, muszę już iść... Obowiązki...

Smok zadrżał, wyglądał na przestraszonego. Adamusss czytając w jego myślach dodał:

– Nie lękaj się... – mrugnął do niego i klepiąc go skrzydłem po ramieniu z uśmiechem rzekł:

– Można się z nim dogadać...

Wzbił się wysoko w górę i odfrunął, a Zefir ze zdziwieniem uzmysłowił sobie, że wie, dokąd i dlaczego musiał polecieć. W tym magicznym miejscu można było pojąć wszystko i zobaczyć każdego w ułamku sekundy, nawet w najodleglejszym zakątku świata. Zrozumiał, że Adamusss opiekuje się wszystkimi smokami, ssakami, gadami i płazami. Zobaczył przed swoimi oczami tak wyraźnie, jak na ekranie telewizora, wieloryba rzuconego przez sztormowe fale do zatoki, uwięzionego między rafami koralowca. Złoty olbrzym leciał mu na pomoc, by uwięziony znów mógł wypłynąć na pełne morze. A gdyby się spóźnił i wieloryb już by usnął, miał mu służyć światłem, jak latarnia morska, wskazująca drogę do Wiecznego Oceanu... Smok uświadomił sobie, że wszystko, co tutaj się wydarza, choć dziwne, jest dobre i już bez lęku patrzył na wschodzące słońce. Zapragnął być tak blisko niego, jak to tylko możliwe, więc ostrożnie podreptał na sam brzeg urwiska.

– A co dalej?! – pomyślał.

Poczuł, że jest to przejście na drugą stronę i że stamtąd może już nie wrócić. Ta druga strona nęciła go, kusiła. Czuł, że byłby tam najszczęśliwszy. Spojrzał w dół i zakręciło mu się w głowie... nie z powodu lęku wysokości, w końcu był latającym smokiem.

To była przestrzeń, w której nie było już nic, żadnych kształtów, nawet ze światła.

– Nie! Nikt nigdy i nic..., nie zmusi mnie do pozostawienia ogona! – zjeżył się na samą myśl o tym.

Przed nim rozpościerała się bezkresna, nieskończona, utkana ze złoto–czerwonego światła przystań, dom ukojenia i ciszy. A On, wieczne Źródło, wyłaniał się powoli, majestatycznie ze świetlistej doliny.

Zefir usiadł na krawędzi świata, zwiesił nogi w dół i przeżywał rozterkę. Całym sercem chciał pofrunąć, ale bał się, bo wszystko w tym drugim świecie było zupełnie nowe, nieznanne. Nie było tam żadnych rzeczy, do których był przyzwyczajony, które wcześniej sprawiały, że czuł się bezpiecznie... Nie było już nieba i łąki, choćby ze światła. Co gorsze, przeczuwał, że tam on sam będzie inny... Do tej pory miał tu przecież ogon i skrzydła, wprawdzie przezroczyście –srebrne, ale jednak były! Po drugiej stronie wszystko roztopiało się w tym boskim świetle...

Wschodzące słońce było coraz wyżej, jego tarcza przestoniła cały horyzont, a promienie zdawały się rozlewać i oświetlać nie tylko łąkę, ale Ziemię całą. To słońce żyło, czuło i kochało, całe pulsowało blaskiem miłości..., jakby oddychało miłością. Nie, Ono nią było. Było miłością, było wszystkim – złotym szczęściem i spokojem, źródłem błogości i boskości. Jego promienie przenikały cały świat, wody oceanów, lasy, góry.

Docierały do każdego człowieka i zwierzęcia. Oczyszczały i karmiły energią każde istnienie, cały Wszechświat.

W obliczu takiego piękna smok znów zwątpił. Poczuł się bezsilnym, ułomnym stworzeniem w lustrzanym odbiciu tego sprawiedliwego światła.

– Skoro On wie, jaki jestem głupi i zły, to przecież nie może mnie kochać... – rozmyślał.

Chciał się ukryć przed Nim, ale nie miał gdzie... Słońce świecąc z każdej strony, jak laser prześwietlało go na wskroś... Poczuł teraz każdą swoją słabość, każdy pazur swojego smoczego charakteru zarozumialca, miał wrażenie, jakby cały był oblepiony brudem błota.

– Zwykłe ze mnie smoczydło... „smoczydło! Smoczydło!!! – słyszał w sobie to złośliwe echo coraz głośniej.

W słowie tym była cała jego śmieszność i pycha. Zrozumiał, że nie tylko nie lubił innych, lecz nawet samego siebie, bo był inny niż wszyscy, taki gruby, niezdarny, zielony... Nie lubił siebie za to, że nie pasował do nikogo. Nie mieścił się w żadnej z bajek... Smoczydło i tyle!

Nagle, niespodziewanie, promienie Źródła objęły go czule, tłumacząc mu, że ma w sercu żal, bo wcześniej stracił mamę i tatę... Że zagubił się w lesie, nie rozumiał innych zwierząt, ponieważ nie przypominały mu smoczej rodziny i jest

rozgoryczony, żyjąc z dala od swojej ojczyzny, Złotej Smokolandii. Wprawdzie Zefir pierwszy raz usłyszał tę nazwę, lecz odkrył, że jest ona głęboko wryta w jego sercu i gwałtownie za nią zatęsknił. Słońce znało wszystkie sekrety jego życia, tajemnice, których on sam nie był świadomy, choć je przeczuwał. Głaskało promieniami jego głowę, tuliło i szeptało:

– Głuptasku, o nic się nie martw...

Zdawało się mu przebaczać i powtarzało:

– Zapomnij o wszystkim, co było złe... Zapomnij o smutku. Zapomnij o przeszłości...

Chwilę potem rozbrzmiały mocne, miarowe uderzenia dzwonu... A może to było serce odmierzające czas świata i w jego rytmie usłyszał najśodsze słowa miłości:

– Smocz... Mój smocz...

Zefirem wstrząsnął płacz, ale był to płacz szczęścia... i zapragnął być tu z Nim na zawsze. Z wnętrza Słońca lał się żar i smoczek przez chwilę się zawahał, lecz czuł, że Ono jest wszystkim, czego pragnie i że dłużej już żyć bez Niego nie umie i nie chce.

Zagubił się w tej miłości i nie zważając na nic, podskoczył na swych wielkich łapach i pofrunął na oślep w sam środek Źródła. W locie spostrzegł, że Ono jest jaśniejsze od tysiąca słońc, choć to światło było łagodne i nie parzyło. Wieczne Słońce miało miliony świetlistych rąk, które go pieściły.



Złote promienie napełniały go szczęściem, czerwone obdarzały miłością, a dotyk srebrnych czynił go niewinnym i spokojnym. Pomarańczowe zalewały go falami błogości, a soczysta zieleń odświeżała go, dając poczucie zdrowia, harmonii i siły. Potem spijał strugi niebiesko –fioletowego światła, które dawały mu taką mądrość, że mógł pojąć Wszechświat. Cały z rozkoszą nasączał się tymi promieniami, płynąc coraz to wyżej. A gdy dotarł do samego centrum Gwiazdy, usłyszał głos bezgranicznej akceptacji:

– Kimkolwiek jesteś, jakikolwiek jesteś... Jesteś mój! Czekałem na ciebie, teraz fruwalj w szczęściu! I dziel się tym szczęściem z innymi...

Czuł się jak w łonie matki, ciepło i bezpiecznie. Zwinął się i ułożył w tym świetle jak małe dziecko, a ono go kołysało.

–Smoczus..., ukochany, boski smoczus – te słowa kołysły go.

Poczuł, że urodził się na nowo i stał się kimś zupełnie innym... Był wreszcie prawdziwy, takim, jakim chciał być zawsze... i pokochał siebie. A jego smocze serce śpiewało:

„Światło otacza mnie z każdej strony... Jestem z Tobą, miłością twą zniewolony. Błogość zalewa mi ślepkę, Twoja słodycz tak czuła, aż lepka. Moje życie topi się w miodzie. Stroić fochy, rozrabiać nie w modzie! Słońce przyszło, by spełniać marzenia...

Od dziś wszystko, ach wszystko się zmienia! Ze smoczydłem pożegnać się pora. Jestem smoczus, szczęścia ostoja!

Cały był Nim pochłonięty. Nie było już nawet ważne, czy jego ogon został po tej, czy po tamtej stronie... Istniało już tylko Ono, Słońce. Tak, jakby nagle wpadł do tajemnego skarbca świata i mógł się napełnić wszystkim, o czym tylko zamarzył, nasączyć się jak pączus każdym odcieniem dobroci. Mógł osiągnąć, co tylko zapragnął, zdobyć siłę, moc odwagi i entuzjazmu, każdą zaletę charakteru. Jakby kąpał się w oczyszczającym Źródle, kolorując się różnorodnymi promieniami światła. Poczuł się całkowicie spełniony.

Wówczas spojrzał w głąb, w samą źrenicę tej boskiej świadomości. Rozpoznał starożytny, odwieczny wzorzec doskonałej Praduszy. Zobaczył tam świetliste schody prowadzące w nieskończoność, była tam też nieograniczona wiedza o Wszechświecie i najgłębsza miłość wiecznie bijącego Serca.

Ale czuł, że przestrzeń ta przeznaczona jest dla istot wybranych przez Źródło, dla ludzi – aniołów. A on, smoczek leżał na progu tego Pałacu Wiedzy i wyczuwał, że miejsce to jest stworzone dla niego, w pełni go satysfakcjonujące, należne mu w szeregu żywych istnień.

– Może kiedyś polecę jeszcze wyżej... – uśmiechnął się do tej myśli i w upojeniu przymknął oczęta.

Postanowił tu pozostać i kołysać się w Nim na zawsze. A Słońce szeptało mu:

– Nigdy nie sprawiaj cierpienia... Dawaj szczęście i sam zawsze pozostawaj szczęśliwy.

Zefir zrozumiał, że jest to sens życia każdego... Smoków, ludzi, zwierząt i zapragnął być najlepszy, taki sam jak Adamusss. Wtedy usłyszał:

– Czynię cię moim posłannikiem szczęścia! Wróć teraz na Ziemię i napraw to, co było złe... Czy jesteś gotowy?

I choć smoczek aż tryskał złotym szczęściem, to spuścił tylko oczy i skłamał z miłości:

– Nie! Jeszcze nie!

Słońce zatrzęśło się ze śmiechu, otoczyło go silnym światłem tak, że nagle znalazł się w wielkiej przezroczystej kuli i chichocząc wyrzuciło go ze swego wnętrza na polanę. Piłka lecąc odbiła się kilka razy i zatrzymała się w miejscu, przez chwilę jeszcze kręciła się w koło jak bączek i stanęła. Smok usłyszał syk, jakby uchodzącego powietrza i kula zniknęła. Wstał i zaczął się bardzo głośno śmiać, po prostu pękał ze śmiechu. Był zachwycony, że Źródło, choć tak wielkie, bawi się z nim jak małe dziecko, robiąc mu psikusy. Słońce pogroziło mu jednym z multimilionów palców, mówiąc:

– Mój słodki kłamczuszek!

Chwilę później, obok niego pojawił się anioł, łącznik między tą krainą a Ziemią i zaczął go sprowadzać na dół. Gdy Źródło zaczęło się chować za krawędź świata, Zefir poczuł, że nie może teraz tak po prostu odejść, że nie może Go stracić... A odszedł już daleko i znów poczuł się samotny, chciał wrócić. Wtedy usłyszał jakby tchnienie matki i ciepłe muśnięcie miłości rozlało się po jego plecach, a cichy głos zapewnił go:

– Będę z tobą już zawsze...

W tym momencie uświadomił sobie, że zwierzęta i anioł mu pomogą, więc z pokorą poszedł dalej za nim.

Tymczasem w lesie od wielu godzin panowało zamieszanie i wrzawa. Zbliżał się już wieczór, a smok cały dzień leżał przy wygasłym ognisku nie dając znaku życia.

– Coś się stało ze smokiem! – latając wokół powtarzała papuga.

– Smoczydło chyba zasłało! – wszędzie rozповідаł zajac.

– Nikt nie wie, czy w ogóle żyje! – żałośnie wołał kruk.

Na polanie zebrały się wszystkie leśne zwierzęta, były smutne i z niepokojem obserwowały go. Bały się jednak podejść, by sprawdzić, co się stało, znając jego niechęć do zbytnej poufałości. Największą odwagą wykazał się komar. Ileż to razy Zefir dużą, niezdarną łapą odganiał go, gdy przeszkadzał mu w spokoju zjeść kolację, mimo to teraz dziarsko podniósł skrzydełka gotów do akcji.

– Raz się żyje! – pisnął dodając sobie animuszu.

Usiadł na zneruchomiłym pysku i szpikulcem, którym spijał krew, wbił się w sam środek zielonego nosa. Smok ku radości zwierząt poruszył się nerwowo i groźnie mruknął:

– Do diabła! Skąd tu komar..., w niebie?!

Tak go to zirytowało, że aż puścił kłębek ognia. Komarzyna dosłownie w ostatniej sekundzie ratował się karkołomną ucieczką wśród płomieni. A Zefir szybko otworzył oczy, by sprawdzić, czy nikt na rajskiej łące tego nie zauważył. To byłby dopiero skandal złościć się w niebie! Drapiąc się po nosie, rozejrzał się wokół. Żył, był w swoim lesie. Spojrzał w górę, korony drzew zdawały się nachylać ku niemu przyjaźnie, a tańczące na wietrze liście głąskały go po głowie. Wokół latały ważki, motyle, biedronki i cudnie pachniało zwyczajną ziemską łąką, aż zapierało dech. Zobaczył zwierzęta zgromadzone na polanie, które wpatrywały się w niego uśmiechając się radośnie. Zrozumiał, że pewnie martwiły się o niego, a teraz cieszą się, gdy się obudził.

– To jest dopiero super życie! – pomyślał – Mam tylu troskliwych przyjaciół! I razem mieszkamy w tym pięknym lesie.

Po raz pierwszy przywitał ich tak serdecznie, jakby przyjaźnili się od dawna.



– Jestem szczęśliwy, że przybiegłyście tu spotkać się ze mną! –  
Powiedział.

Zwierzęta były zdumione słysząc to i pomyślały, że smok najwyraźniej jeszcze całkiem się nie obudził. Ośmieliły się jednak i jedno po drugim zaczęły go pytać:

– Co się stało?

– Cały dzień nie poruszyłeś się!

– Źle się czułeś?

A kotek ziewnął i miauknął:

– Może po prostu zaspąłeś ten dzień..., mi też się to czasem zdarza...

Zefir, który jeszcze nie do końca rozumiał, co się z nim działo, odpowiedział cicho:

– Ja..., ja..., chyba spałem... Ale..., nie – poprawił się – To nie był sen... Poleciałem bardzo daleko..., dalej niż możecie to sobie wyobrazić.

Tygrysica skwitowała to krótko:

– Kłamie, cały dzień leżał na łące!

Smok tajemniczo uśmiechnął się:

– Naprawdę fruwałem!

I pokazując łapą w górę rzekł:

– Fruwałem, ale nie po tym niebie!

– Coś z nim nie tak! – zawyrokował wilk.

– Mówi jak jakieś dziwadło! – szepnęła ważka, a jej okrągłe oczy ze zdziwienia zrobiły się jeszcze bardziej wypukłe. Wszyscy popatrzyli na siebie znacząco i zaczęli się uśmiechać, a Zefir nie zrażając się, ciągnął dalej:

– Wczoraj poczułem się bardzo samotny i usnąłem... W tym śnie przyszedł do mnie anioł...

Zwierzęta zaczęły się podśmiewać, nie wierzyły mu.

– I co dalej? – spytał piesek, który jako jedyny słuchał go z ufnie wlepionymi weń oczami, więc zachęcony tym smok nadal snuł swą opowieść.

– Potem anioł zabrał mnie na łąkę, na łąkę w niebie...

Sierściuchom coraz trudniej było powstrzymać chichot, ale Zefir wciąż mówił:

– To była kraina ze światła, panowała tam głęboka cisza, a jednocześnie w głowie słyszałem chóry anielskie...

Zwierzaki nie wytrzymały i jednocześnie wybuchły gromkim śmiechem. Wówczas siedząca z tyłu stara kocica, która

przysłuchiwała się temu z uwagą, podeszła do smoka i powiedziała:

– On mówi prawdę...

Wszyscy spojrzeli na nią i zaczęli sobie coś przypominać... Przecież to właśnie ona rok temu podtopiła się w nagle wezbranym rwącym potoku, uwięziona przez kłodę złamanego drzewa ledwo przeżyła. Uratowała ją tygrysica, a gdy po kilku godzinach ocknęła się, także opowiadała o jakiejś niebiańskiej łące i słonecznym Źródle o wielkich, kocich oczach. Wtedy zwierzęta też nie uwierzyły w te rewelacje z zaświatów, bo przecież gdy straciła przytomność, były wokół niej i nic nadzwyczajnego nie widziały.

– On mówi prawdę... – powtórzyła kocica i spojrzała na nie karcąco tak, że przestały się śmiać.

Wtedy kruk zaskoczył ich swoim wyznaniem:

– Wiecie..., mi też przydarzyło się coś dziwnego, gdy byłem mały i wypadłem z gniazda... Uderzyłem wtedy głową o ziemię i zobaczyłem gwiazdy..., a potem Jego..., promienne Słońce..., miał czarne oczy tak jak my, kruki!

– Ależ skąd! – zaproponowała kocica – Przysięgam, że się nie mylę, one są miodowe i kocie!

– Nie! – zawołała małpa – Babcia mi mówiła, a ona wie najlepiej, że Jego oczy są jak nasze, ciemnobrązowe!

– W żadnym wypadku! Jest absolutnie pewne, że On ma oczy zielono –brązowe... – z naciskiem wtrąciła żabka.

I już prawie wszyscy zaczęli się kłócić, aż smok im przerwał:

– Po prawdzie, to i ja żabko myślałem, że są zielone, ale wiecie co? On..., nie ma oczu..., choć nikt na świecie nie widzi lepiej od Niego, bo On wie i rozumie wszystko.

– A co było dalej? – dopytywał się piesek.

– Zaraz opowiem, ale po kolei... – rzekł Zefir – Położyłem się na tej łące i rozkoszowałem zapachem kwiatów.

– I co dalej? Co? – teraz to zwierzęta zaczęły się dopytywać.

– Potem zaciekawilem się, co było na końcu tej polany, bo nagle urywała się i nie było nic... – ciągnął dalej smok.

– To by potwierdzało moje najgorsze przypuszczenia, że Ziemia jest jednak płaska i gdzieś się kończy... – smutno pokiwał głową kruk.

– Dobrze, ostatecznie mogę się z tym zgodzić, ale jak tam dojść?  
– wtrącił ślimak.

Smok kontynuował:

– Nagle na horyzoncie pojawił się on... Wybraniec...

– Kto? – zapytała żabka.

– No, ojciec wszystkich zwierząt, pierwowzór z Arki Noego...

- Aha! – żabka pokiwała głową, ale widać było, że nie kuma.
- Adamusss przytulił mnie do siebie z miłością, a potem zaprowadził do cudownego Słońca, które wzeszło nad brzegiem świata, znad krawędzi czasu.

Zwierzęta odruchowo spojrzały w górę, ale Zefir zaprzeczył głową i rzekł:

- On jest milionkrotnie większy i potężniejszy od tego słońca, lecz Jego światło nie parzy...

– To jest cool! – ucieszyła się biedronka.

– Przez chwilę bałem się – mówił smok – bo wiedziałem, że będę musiał spojrzeć mu w oczy, choć ich nie miał... ale On czuł mnie całego i widział wszystkie moje grzeszki... Wtedy zrozumiałem...

– Co rozumiałeś? – zapytał lisek.

Zefir zawahał się, ale w końcu powiedział to głośno i odważnie:

– Jaki jestem mały, choć duży! Pomyślałem o sobie – smoczydło...

Zwierzaki zaczęły się dziwnie kręcić, najwyraźniej poczuły się nieswojo i spuściły w dół oczy. Zefir uśmiechnął się:

– Wiem, że od pewnego czasu zaczęłyście mnie tak nazywać, bo wciąż was odrzucałem, mówiąc tyle przykrych rzeczy... Powiem



szczerze, miałyście rację! Uświadomiłem to sobie będąc przed Nim, że tak właśnie jest. On jest doskonałym lustrem... ale nie jakimś tam jeziorkiem. Tak, byłem smoczydłem.

Zgromadzeni wokół niego patrzyli z niedowierzaniem, a ich oczy zrobiły się wilgotne.

– Przed Nim byłem taki maluśki... – dodał smok.

Jednocześnie niezdarnie próbował pokazać to swoimi wielgachnymi szponami i zwrócił się do biedronki:

– Przepraszam cię za moją pychę... To charakter czyni kogoś wielkim lub liliputem. W Jego świetle widziałem cały swój egoizm i głupotę... i zrozumiałem, że nie szanowałem innych. Czułem się najmniejszy z was, taki tyci..., tyci... Nawet mniejszy niż ty... – spojrzał na komara, który korzystając z jego nieuwagi wbił się właśnie w grubą zieloną skórę.

– No tak..., pij, pij..., nie przeszkadzaj sobie..., ja i tak tego prawie nie czuję...

Zszokowany komar zamarł i aż usiadł z wrażenia na smoczej łusce, a Zefir widząc jego skrzywioną minkę, dodał:

– Pij! Nie krępuj się.

Niestety, komar nie mógł skorzystać z jego gościnności, po prostu, nie mógł już wypić ani kropli więcej. Ale nie chcąc go urazić, próbował się do niego uśmiechnąć, choć wcale nie było

to łatwe. Kwaśna, zielona krew nie należała do rarytasów, mimo to pił ją codziennie, nie dla przyjemności, lecz z rozsądku.

– Ach, ten chlorofil, samo zdrowie! – tak komar zwykł zachwalać kolegom po fachu posiłki na smoczydle. Bardzo dbał o zdrową dietę. Z tego powodu wyrzekł się nawet ludzkiej krwi, szczególnie tej z miasta. A fuj! Sama chemia i konserwanty... Kiedyś po takim obiedzie zemdliło go, fiknął do tyłu i omal nie wyciągnął odnóży. Od tamtej pory stał się bardzo ostrożny w kwestii swojego menu. W końcu, nie był zwykłym komarem... ale komarem z bajki! Teraz zmieszany wyciągnął z gracją swój szpikulec, spuścił w dół chude nóżki i z szacunkiem pisnął:

– Mądrze gada..., słuchajmy go!

Więc Zefir opowiadał dalej:

– Byłem samolubem, ale... tak naprawdę czułem się inny niż wy i bałem się, że mnie odrzucicie... Choć rzecz jasna uważałem, że smoki są najpiękniejsze... A przecież On, Słońce wcale nie wyglądał jak ja, lecz i to już mi nie przeszkadzało... Piłem łąpczywie Jego światło, jak spragniony wodę u Źródła Życia. Przyglądał mi się z tkliwością, jak małemu dziecku, potem usłyszałem Jego słodkie słowa...

– To On miał pyszczek? – zapytała lisica.

– Nie, ale odebrałem Jego myśli. Były głośniejsze niż słowa – wyjaśnił Zefir.

- No i co ci powiedział? – spytała ważka.
- Smoczuś... – odparł smok.
- Co? Co?! – pytali inni i nagle każdy chciał to usłyszeć raz jeszcze.
- Mój smoczuś... – powtórzył Zefir.

Tym razem zwierzętom trudno było ukryć wzruszenie. Próbowaly powstrzymać łzy, spuściły głowy i zamilkły, a Zefir opowiadał dalej:

- Poczułem, że On mnie kocha takim, jakim jestem, mimo mych wad... i wierzy we mnie. Całe moje serce ze szczęścia chciało wyskoczyć z piersi, wzbiłem się i poleciałem w sam środek Słońca... I już nie bałem się niczego, nawet tego, że spłonę...
- Przecież ty sam masz ogień! – rezolutnie podchwyciła biedronka.
- Tak, ale inny... Jego ogień nie parzy, a gdy skąpiesz się w Nim, stajesz się cały złoty. – odparł.
- Złoty smoczuś... – powiedziała małpa.
- Smoczuś..., złoty... – zwierzęta powtarzały to kolejno jak leśne echo.

Zaczęły się śmiać przez łzy, bo nagle same poczuły się lepsze, jakby i one były na rajskiej łące i oczyściły się w blasku Źródła.

Ich pyszczki, dzioby, ryjki, te gładkie i te kudłate, wszystkie bez wyjątku były mokre od łez. A smok dalej szeptał z wypiekami na policzkach:

– Tak, wpłynąłem w głąb Niego... leciałem wzdłuż całego lasu rąk, które tuliły mnie i karmiły dobrem. A gdy dofrunąłem do tej wielkiej Gwiazdy, to było tak jakbym sam stał się świecącą gwiazdą... i wtedy usłyszałem:

– Ukochany, boski smoczuś...

– Ukochany? – spytał motylek.

Zefir pokiwał głową:

– Tak..., wówczas zdecydowałem, że muszę się zmienić i gdy znów Go spotkam, a pragnę tego najbardziej na świecie, to będę już godny Jego miłości. Wtedy On znów powie mi... – spuścił łeb, zamknął oczy, a łzy wielkie jak perły popłynęły wzdłuż całego zielonego brzucha i wyszeptał:

– Mój boski smoczuś...

Zwierzaki głęboko poruszone zamarły w ciszy. Nagle, każde z nich doznało olśnienia. Bo kto mógł tak nazwać smoczydło?!

Zrozumiały i polały się łzy. Łkały, ryczały, zawodziły... Z tego wstrząsu miłości, że Ten, którego ludzie sobie przywłaszczyli i o którego wciąż między sobą wszczynali wojny...

Że On, Najwyższy, tak bardzo ukochał swe najmniejsze, bezbronne dzieci..., właśnie je, zwierzęta...

I tak płakały..., zając, by ukryć łzy, przykrył oczy długimi uszami, liski schowały się za gitarę. Małpa zasłaniała oczy udając, że drapie się w czoło, a piesek odwrócił mordkę do tyłu niby to gryząc się w ogon. Za to kruk, patrząc zdumiony na płaczących przyjaciół, pierwszy raz zapominając o swym smutku, uśmiechnął się szeroko... W życiu nie był tak szczęśliwy! Wreszcie odnalazł siebie...

Poczuł się wśród nich tak swojsko i dobrze jak nigdy! Żabka spojrzała na niego zaskoczona i zarechotała radośnie. Jej chichot był tak zaraźliwy, że po chwili cała gromadka widząc ją i kruka, turlała się ze śmiechu. Wtem, wstała tygrysica i powiedziała doniosłym głosem:

– Wiecie co? Uczcijmy to i zatańczmy taniec w kręgu, taniec jedności!





Zaczęli tańczyć i śpiewać, trzymając się za ręce, a nad nimi płynęły ważki, ptaki, motyle i komar.

– Kiedy złoto płonie w nas,  
to już czas, smoku w las...  
Leć przyjaciół spotkać swych.  
Życie długie masz i piękne.  
Myśli twoje nieulękłe.  
Źródło wyłania się jak diament.  
Dawaj szczęście – to twój talent.  
Kropki szczęścia każdy chce,  
Nikt nie powie na to „nie”.  
Kiedy miłość płonie w nas,  
to nasz czas, złoty czas...

Tańczyli w takim upojeniu, że nawet nie zauważyli, jak noc stała się dniem, a wschodzące słońce oświetliło ich swym blaskiem. Zalani strumieniami jego letnich promieni nagle stanęli w nich cali złoci. Zatrzymali się urzeczeni swym pięknem, patrząc na siebie z zachwytem i onieśmieleniem, jakby widzieli się po raz pierwszy. Każdy z nich wyglądał tak uroczo, tak cudnie, że wróżka, która pojawiła się na polanie wraz z księżniczką, odrzuciła swoją różdżkę, mówiąc:

– Ona nie jest mi już tu na nic potrzebna. To są dopiero prawdziwe czary!

W tym momencie wielki, szkarłatny motyl zatrzepotał nad nimi skrzydłami, śpiewając hymn skrzydlatego klanu:

– Jestem zwiewny, tęczowy motylek. Żyję cudnie, choć tylko przez chwilę. Bardzo długo w kokonie dojrzewam, gdy wyfrunę dusza ma śpiewa! I dzisiaj zagram nutką nieśmiertelności... Tak, wierzę w nią, bo wiara w Boga w moim małym serduszką gości...

Kiedyś Pan nas zabierze na łąki kolorowe, nad potoki mlekiem i miodem płynące... Marząc tak tracę głowę! Powiedz, czy chcesz się pławić rozkosznie w tej wierze?

Na to smok zanucił mu bez namysłu:

– Tak, myślę, że na tę łąkę... Pan nas kiedyś zabierze...

Zwierzątka jednomyślnie potakująco kiwnęły swoimi główkami dużymi, małymi i tymi maciupeńkimi... Zefir spojrział na nie z miłością i zrozumiał, ile by stracił, gdyby miał tylko jednego smoczego przyjaciela.

**KONIEC**

Patrzyłam jeszcze chwilę, jak Zefir tańczył ze wszystkimi śmiejąc się i zabawnie machając ogonem.

Potem zgasiałam komputer. Na stole wciąż leżał ten długi palmowy liść. Oderwałam kawałek i napisałam na odwrotnej stronie:

„Wspaniale było Cię spotkać i opowiedzieć, tę historię...

Ja też pofrunęłam do Źródła!

Może kiedyś „napiszę Ciebie” dalej... Jak poleciałeś do Złotej Smokolandii i zobaczyłeś całą zieloną rodzinę...

Ale teraz tańcz w szczęściu - bo właśnie odnalazłeś siebie!”

Złożyłam list w kształt samolociku, wyszłam na balkon i wypuściłam w górę, w stronę księżyca.

Na pewno go znajdziesz...

\* Wszystkie prawa autorskie zastrzeżone

